

po godzinach

Wędrowanie pozostanie

Kuba Część V. Ludzie



Santa Clara. Na placu przed teatrem La Caridad, pochodzącym z końca XIX wieku, odbywają się imprezy taneczne nawiązujące do dawnych spotkań z okresu narodzin rumby.



Para tancerzy w spokojniejszym wydaniu rumby — yambú.



Nie wiem, co jest najważniejsze w podróżowaniu: poznawanie historii, oglądanie zabytków, parków narodowych? A może kontakty z ludźmi? Może w spotkaniach z człowiekiem, niearanżowanych przecież, zawiera się istota miejsca, do którego dotarliśmy? Takich spotkań nigdy nie lekceważyłem, nawet jeśli nie przeradzały się w dłuższe znajomości czy przyjaźnie. Podróż sprzyja spotkaniom. Podróż wręcz otwiera człowieka, a bez tego nie ma poznawania świata.

Santa Clara, miasto rewolucji i Che Guevary, okazało się dla mnie miastem muzyki. Gdy na centralnym placu Leoncio Vidal zaczęli gromadzić się ludzie, wyciągnąłem szybko aparat. Takiej okazji nie mogłem przepuścić. Podróżując po świecie, rozwinałem nawyk fotografowania, zwłaszcza wtedy, gdy ludzie się gdzieś gromadzą, są uczestnikami jakiegoś przemarszu, festynu, imprezy sportowej, gdy biorą ślub lub coś sprzedają. W Santa Clara mieli tańczyć. Zastanawiałem się tylko, czy będę musiał tańczyć z nimi, czy będę mógł wśród nich trochę pochodzić, skierować na niektórych obiektyw.

W rytmie rumby

Zabrzmią dośnośna muzyka. Wokalistą był czarnoskóry mężczyzna w okularach. Kolejny, w czapce z daszkiem i kilkoma sygnetami na palcach, wybijał rytm za pomocą grzechotek i kastanietów. Towarzyszyli im gitarzyści oraz perkusista. Dzięki nagłośnieniu cały plac Vidal zaczął falować muzyką. Zgromadzeni pozostali początkowo na swoich miejscach, obserwując teren i próbując ośwoić się z brzmieniem dźwięków.

W tłumie wypatrzyłem trzy poznane wcześniej w autobusie Francuzki. One też wypatrzyły mnie. Ich spojrzenia uzmysłowiły mi, że kobiety pragną tańca, chcą być poproszone, stać się uczestniczkami tego widowiska. Chociaż krok rumby nie wydawał mi się trudny, liczba jej odmian, zasady prowadzenia, interakcja tańczących stają się dużym wyzwaniem dla przypadkowego tancerza. Uznałem jednak, że tego nie uniknę. Poprosiłem jedną z Francuzek, głównie po to, żeby zachęcić miejscowych. Jeszcze w trakcie utworu przekazałem ją łypiącemu oczami młodzieńcowi o śniadej karnacji. Zależało mi nie na tym, żeby same-mu ćwiczyć, ale widzieć i utrwać, jak Kubańczycy to robią.

Przypatrzywałem się fizjonomii tańczących, gibkości ciał. Zaskakujące pary snuły się po posadzce. Niska, korpulentna kobieta wpila się w tors wysokiego mężczyzny. Sięgała mu co najwyżej do rękoleści mostka. Różnili się wszystkim — wzrostem, wagą, kolorem skóry — a mimo to tańczyli z gracją, podkreślając towarzyszące rumbie emocje. Ciekawa parę stworzyły też dwie ubrane na biało kobiety. Zastanawiałem się, czy to matka

i córka, gdyż dawało się zauważyć podobieństwo fizyczne oraz różnicę wieku odpowiadającą jednemu pokoleniu. Do synkopowanego rytmu dostosowali się też tańczący samotnie: młody mężczyzna z zespołem Downa oraz wyszminekowany transwestyta o kruczoczarnych włosach, z kolorowymi koralikami na szyi.

Niewielki skwer przed teatrem La Caridad wypełniał tłum. Część tańczących musiała nawet wyjść na ulicę, blokując przejazd samochodów i wycieczkowego tramwaju z dziećmi. Muzyka, figury taneczne, chaos ulicy nie lirowały z powagą XIX-wiecznego teatru, wzdłuż którego odbywało się widowisko. Kto jednak był się tym przejmował?

Jednocząca siła muzyki

Byliśmy w jednym z najważniejszych kubańskich ośrodków rumby, mieście, w którym narodziła się ta muzyka. A narodziła się dlatego, że żyjąca tam społeczność czarnoskórych, wolnych już ludzi, po zniesieniu niewolnictwa, zapragnęła odmiany. Społeczność ta chciała jak najszybciej pozbyć się traumatycznych przeżyć, zbudować nową tożsamość. Pochodzili z różnych



Cienfuegos. Pomnik Benny Moré'a, muzyka i propagatora muzyki afrokubańskiej. Benny Moré pochodził z wielodzietnej rodziny afrokubańskiej. Miał osiemnastoro rodzeństwa!



Taniec przynosi radość i spełnienie.



Autor reportażu **prof. dr hab. n. med. Mirosław Kowalski** jest zastępcą kierownika Kliniki Wad Wrodzonych Serca Instytutu Kardiologii w Warszawie. Poza kardiologią ma jeszcze wiele pasji. Autor wystawy fotograficznej „Iran — spokojne spojrzenie” w Muzeum Ziemi Polskiej Akademii Nauk oraz książki „Szkatulka pełna Sahelu — subsaharyjska ballada” o kulturach Afryki Subsaharyjskiej. Pasjonuje go również muzyka klasyczna. Jest absolwentem szkoły muzycznej I stopnia. Gra na fortepianie.



Taniec rodził się na obrzeżach miast, zwykle w dzielnicach slumsów.

części Afryki: z Nigerii, Angoli, Konga. Reprezentowali różną obezajowość, także muzyczną, tak jak rożnęła i różnorodna jest Afryka. Nie mieli niczego — środków do życia, ziemi, nie mieli nawet na czym grać. Slumsy dużych kubańskich miast stworzyły im szansę.

Muzyka rozumiana jako impreza okazała się treścią nowego życia. W potańcówkach uczestniczyli wszyscy: czarni, biali, właściciele sklepów, sprzątaczk, biedacy. Tłumna, wielokolorowa społeczność grała i tańczyła. Grający wykorzystywali początkowo dobrze rezonujące drewniane pudła. Po latach dorobili się gitar i bębniów. Ludzie coraz bardziej smakowali nowe rytmy, zakorzenione w dawnych rytuałach. W takich warunkach powstała rumba — muzyka namietności. Nie jest muzyką tylko Afryki. To także szczypta Europy, muzyka białych, którzy podjęli z Afrykańczykami swoistą interakcję. Rumba wreszcie to muzyka Kuby, wyspy, która zadbała o tańczących, dostarczyła im tropikalnej i jakże zmysłowej sceny.

Klub dla wtajemniczonych

Musimy porozmawiać — szepnęła mi do ucha zniekarna kobieta stojąca za mną, gdy złapałem już na dobre rytm fotografowania.

— Czego ona chce? — pomyślałem. Czy robię zdjęcia zbyt nachalnie? Czy nie spodobało jej się to, że skierowałem obiektyw na transwestytę? Nie znając odpowiedzi na te pytania, wycofałem się za uskok budynku, gdzie dźwięki bębna nie były tak dokuczliwe dla rozmowy.

— Miło mi panią poznać.
— Mnie również, ale będzie mi jeszcze bardziej miło, jeśli pójdzie pan ze mną i moja siostra na prawdziwy pokaz rumby.

— Czy ten nie jest prawdziwy?
— To pokaz inicjowany przez władze miasta dla wszystkich, mieszkańców i turystów. Widzi pan, ilu ich tu jest. Zależy nam, żeby poznał pan prawdziwą szkołę rumby. Pan przychodzi najlepszy. Możemy pana zaprowadzić.

To, że Kubańczycy są bezpośredni, wiedziałem już od czasu, gdy młoda, zgrabna kobieta stanęła przede mną na któreś z ulic starej Hawany i zapytała: dokąd się spieszysz jowencito? (hisp. młodzieńcze). Cóż, podtekst tamtego spotkania był oczywisty. Podziękowałem wtedy grzecznie, uśmiechając się i tłumacząc, że spieszę się do Muzeum Rewolucji. Chyba bardziej absurdu miejsca nie mogłem wtedy na prędce wymyślić.

W Santa Clara jednak stanęła przede mną nie jedna, a dwie kobiety, i to dużo starsze od tamtej, ba, dużo starsze ode mnie. O co tu chodzi? W jakiej jestem rzeczywistości? Może faktycznie chodzi o taniec... Przecież taniec, poza siatkówką i baseballiem, to kubański sport narodowy.

— Dobrze, ale gdzie ten klub się znajduje? Santa Clara to dla mnie tylko krótki przystanek — zacząłem się tłumaczyć.
— Zaprowadzimy cię.
Zapanowała forma „tutear” — mówienia per ty. I tak forma oficjalna w ogóle się pojawiła, przyszedłem więc proponowaną formułę. Podobnie było przecież w innych krajach Ameryki Łacińskiej. To element kultury, z którym trzeba się ośwoić. Cristina i Alejandra są siostrami. Dobiegają osiemdziesiątki. Są samotne. Jedna nigdy nie wyszła za mąż, druga dwa lata temu została wdową. Dowiaduję się tego wszystkiego w drodze do szkoły tańca. Nie musimy iść daleko. Santa Clara jest małym miastem i wszystko, co ważne, znajduje się w zasięgu ręki.

Wchodzimy na ocieniony dziedziniec. Miejsce przypomina bardziej małą fabrykę niż klub taneczny. Najbardziej zaskakuje metalowa drabina schodząca z poziomu dachu na zaizolowany podest, służący za scenę. W jednym ze słabo oświetlonych pomieszczeń umieszczono bufet z napojami. Naprzeciwko, na środku dziedzińca, znalazły się drewniane ławy i prymitywne stoły. Podwórko jest niewidoczne z ulicy i w żaden sposób nieoznakowane. Klub zdaje się wykorzystywać jedynie grupa wtajemniczonych. Być może właśnie sobotnie popołudnia przyjęto jako stały czas spotkań.

Każdy Kubańczyk kocha tańczyć

Ludzie schodzą się powoli. Część osób siedzi na drewnianych ławach, część syczy napój z rumem. Ktoś już najwidoczniej przedawkował alkohol, gdyż kiwa się, mamrocąc coś pod nosem. Czekamy na grupę muzyczną. Stawiam drinka moim partnerkom. Przyjmują ten gest z radością. Mówią coś nawet o kolacji.

— Jak to jest, Cristina, czy Santa Clara jest najważniejsza w rozwoju rumby? Nie słyszałem o waszym klubie, a o Buena Vista Social Club w Hawanie już tak.

— O naszym klubie nikt jeszcze nie nakręcił filmu, dlatego nie słyszałeś. Ale nakręci. Jeszcze za naszego życia. Jesteśmy pewnie — śmieją się.
— A muzycznie czym się różnicie?

— Tam wykonywano różne gatunki. Utrzymane wprawdzie w jednym stylu dawnej Hawany, ale różne. U nas gatunek jest jeden. To rumba.
— Jak słyszałem, rumba nie jest jednolita.
— Dobrze słyszałeś. Będziemy grali wersję guaguanó. Może być jeszcze yambú. To się tańczy w parach wolno, a u nas jest sporo starszych osób. Oni nie wytrzymują typowego tempa.
— I tak jestem pod wrażeniem, że starsi tańczą. Ja mam fragment tańca za sobą. Wytrzymałem pod teatrem zaledwie chwilę. Wiem, co to za wysiłek. Może to przez ten klimat...

— Taniec jest w nas. Nie ma Kubańczyka, który nie kocha tańczyć. To przecież nasze życie. Ludzie poprzez taniec wiele wyrażają. Starsi, którzy nie są w stanie tańczyć, przychodzą słuchać. Zwróć uwagę, że rumba to także śpiew. Wokalista opowiada o jakimś wydarzeniu, o ludziach. Ciekawie jest tego posłuchać.

Węjskie muzyki przerywa rozmowę. Rozkładają instrumenty. Nie mogę wyjść z podziwu nad różnorodnością grupy. Jedna z kobiet nosi krótkie, chłopięce włosy i ciemne okulary. Druga ma tak jasną karnację, że mogłaby być wzięta za Europejkę z północy. Być może jasność jej skóry wystraszona stojący obok Afrokubańczyk, ubrany zresztą w czarną koszulkę polo. Zaskoczeniem jest nie tylko różnorodność grupy, ale także koordynacja występu. Śpiewają wszyscy i wspólnie akcentują rytm. Wątek melodyczny przenoszony jest z osoby na osobę. Dziedziniec zapelnia się tańczącymi. Ludzie wiedzą, że pierwsze dźwięki to sygnał do tańca. Pojawiło się już kilkanaście par, w większości osób starszych. Kobiety, mimo dojrzałego wieku, przywdziały odważne stroje. To jedna z zasad rumby. Najbardziej ściera spojrzenia pani w leginsach, czerwonej bluzce i kozaczkach sięgających kolan. Nie jest wiele młodsza od Cristiny i Alejandry. Ubiór moich towarzyszek jest bardziej dystygnowany. Być może nie planowały przyścia na tajemniczy dziedziniec, może ten pomysł zrodził się ad hoc.

Próbuję tańczyć z Cristiną. Staram się ruszać biodrami jak Kubańczyk, stawiam krok na całej poduszce, trzymam równo głowę. Nie wiem jednak, czy wszystko, co robię, ma sens. Cristina dodaje mi odwagi gestami i mimiką. Stymulująca nade wszystko jest sama muzyka. Dochodzę do wniosku, że nawet ktoś, kto nigdy nie tańczył rumbi, automatycznie uruchomi swoje ciało. Muzyka dudni



Członkini zespołu muzycznego na tajemniczym dziedzińcu.



Rozgrzewka przed tańcem.

w głowie, miesza, wciaga. Zmiany tempa pobudzają wyobraźnię. Gdy zacznie się tańczyć, trudno przerwać. Tancerze czują się jak w narkotycznym transie. Nie porwałem jednak Cristiny. Dopiero się uczę. Daleko mi do wytrawnych kubańskich tancerzy. Właśnie dwaj pojawili się zniekarna. To koledzy ze szkolnych lat Cristiny i Alejandry. Chociaż wspaniały rumba bywały miejscem ich spotkań, ostatnio długo się nie widzieli. Rozpoczynają wspólnie kolejny taniec. Panie rzuciły się na partnerów jak nastolatki. Przyjemnie obserwować, jak bardzo są rozemocjonowane.

Żywiolowe guaguanco

Przyjemnie jest też posłuchać wątku melodycznego. Przysiadam na chwile na ławce. Dochodzę do wniosku, że rumba nie istniałaby bez języka hiszpańskiego. To on scala wszystkie motywy i ceremonie. Nadal nawet tancerzowi właściwą oprawę. Każdy element w rumbie ma sens: język, strój tancerzy, użycie instrumentów, nawet tak prostych jak grzechotka.

Tymczasem od wolnego yambú przechodzimy do guaguanco. Z czeluści pawilonu wylaniają się młodzi, bardziej żywiołowi tancerze. Pojawia się to, co jest esencją rumbi — cielesność. Mężczyzna w tańcu prezentuje swoją partnerkę. Jest nią zauroczony. Chępli

się, puszy jak paw. Chce nią zaimponować. Sam przy tej okazji dużo mówi o sobie. Podkreśla siłę i vitalność. Ona dumna idzie za nim. W tańcu widzi się jak żmija, kluczy, umyka. On jej coraz bardziej pożąda. Emocje przekazują nie słowami, ale spojrzeniem i gestem. Napiecie między nimi narasta. Ona wiruje jeszcze bardziej. Wie, że mężczyzna jest jej, że go zdobyła, ale jeszcze chce się droczyć. Nie daje niczego po sobie poznać. Rozgląda się, patrzy na innych. Ojej, patrzy też na mnie! I to jak! Przeszywa mnie dreszcz. On czuje się zdradzony od samego spojrzenia. Ale walczy o nią. Chce z nią być. Może ją przekona, żeby pozostała. Łapie za rękę, energicznie przyciąga. Wracają do siebie.

Ostatnie frazy utworu niosą kulminację. Spełnienie jest blisko. Ma być żywiołowe, kubańskie, ekstatyczne. Ojej, co oni robią! Taniec zbliża się do finału. Ruchy miednicą mówią wszystko. Kręci mi się w głowie. Chęć wyjść. Całuję na pożegnanie Cristinę i Alejandrę. Poklepuję po ramieniu ich partnerów — kolegów ze szkoły podstawowej. Wszyscy wydają się być w uniesieniu, ognistym, frenetycznym, nawet jeśli nie tańczyli tego utworu. Mijam leżącego na ławce mężczyznę. Też jest w ekstazie, jednak nie tanecznej, bardziej alkoholowej.

Mirosław Kowalski